

Han-Ka

Ten pociąg już dawno odjechał...?

Ten kwietniowy wieczór na zawsze pozostanie w mej pamięci, a historia mojej babci będzie historią, która zapisze się na kartach mojej Rodziny i będzie zaczątkiem czegoś, co na pewno pragnę kontynuować... Jaką formę jej nadać, w jaki sposób opowiedzieć o losach moich przodków, których życie na pewno nie rozpieszczało i zmuszało do podejmowania różnych wyzwań i decyzji wiodących ich w nieznaną, ale upragnioną miejscę na ziemi? Bo czy można porzucić swoje marzenia, wyobrażenia o lepszym życiu w swojej ukochanej Ojczyźnie, a nie poza jej granicami? Historia mojej babci i pradziadków pokazuje, że nie można, i że nawet mimo upływającego czasu ten odłamek pamięci o ukochanej Polsce ranił serce i wciąż przypominał, że póki wystarczy sił, trzeba walczyć o powrót do kraju. Do tego kraju, któremu dziadek podczas wojny oddał się bez reszty, najpierw walcząc na froncie w I Armii Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki, a potem jako saper, przez kilka miesięcy rozminowując ziemie, abyśmy mogli żyć w bezpiecznym kraju. A prababcia? Prababcia dzielnie czekała na jego powrót, zajmując się domem i dziećmi. I tęskniąc za najbliższą jej sercu osobą - moim pradziadkiem.

Ale zacznijmy od początku...

Moja babcia Janina z domu Błach urodziła się 7 stycznia 1947 roku, ma 76 lat, i mimo że wydarzenia, o których niedawno mi opowiedziała, miały miejsce ponad 60 lat temu, bardzo dobrze pamięta czasy spędzone w ZSRR, w którym przyszło im żyć po zakończeniu II wojny światowej i czas, kiedy cała rodzina marzyła o tym, aby wyjechać do rodzinnego kraju, czyli do Polski. Bardzo często w szkole otrzymywali ulotki, w których spisane były obietnice lepszego życia gdzieś w głębi kraju, w stronę Syberii. Jej rodzice bardzo się obawiali, że skoro władze ówczesnego ZSRR dają im takie ulotki, to będą zmuszeni do wyjazdu właśnie w to miejsce. Tym bardziej chcieli raz na zawsze opuścić ZSRR i zacząć nowe życie. Mój pradziadek Marcin jako żołnierz miał takie prawo, jednak aby z niego skorzystać, musiał mieć kogoś z rodziny, kto już mieszkał w Polsce i mógł zaprosić swoich bliskich. Taki to był właśnie trudny czas... Niby byli u siebie, w swoim domu, jednak już nie w Polsce. Niby było pozwolenie, ale brakowało możliwości i trzeba było tkwić tam, gdzie się żyło do tej pory. Niby sąsiedzi byli życzliwi, ale każdego dnia przypominali o tym, że rodzina moich dziadków nie jest u siebie. Taka ironia losu, która zapewne w tamtych czasach była częstym gościem w wielu polskich domach...

W tamtym czasie, czyli w latach 50. XX wieku, w ZSRR działo się coraz gorzej. Tato mojej babci - Marcin Błach - pracował wtedy na kolei. Wstawał w nocy o godzinie 1.30, aby zdążyć na

pociąg, do którego trzeba było jeszcze dojść 3 km. Dojeżdżał nim do Lwowa 75 km. Pracował przy rozładunku węgla. Wyłaty wystarczało tylko na chleb, który pradziadek przywoził ze Lwowa i trochę grosza na omastę. I to wszystko. Moja prababcia musiała zadbać o to, żeby wyżywić całą rodzinę, która wcale nie była mała, dlatego też potrafiła zrobić wiele rzeczy, dzięki którym mogli przeżyć ten trudny czas. Uprawiała ogródek, robiła przetwory, zapasy na zimę. Ale i tak bywały dni, że starsze dzieci kładły się głodne spać, bo zabrakło chleba dla wszystkich. Dobrze, że potrafiła szyć i dzięki temu miała w co ubrać swoje dzieci. Pradziadek nieraz przywoził ze Lwowa czysto (różne tkaniny, resztki materiałów) i mama mojej babci szyła z tego ubrania - spódniczki, bluzki, sukienki, a chłopcom spodnie, koszule, a nawet marynarki czy płaszczyki. Wtedy ta umiejętność była niezwykle cenna i dzięki temu można było być ciepło ubranym, a zaoszczędzone pieniądze można było przeznaczyć na jedzenie. Jesienią z kolei szyła dzieciom walonki, w których potem zimą chodziły do szkoły. Od wiosny do jesieni chodziły bosko i tylko do Kościoła przed samym wejściem zakładały buty, często po starszym rodzeństwie.

Rodzina mojej babci mieszkała we wsi Wolica, 7 km od Medyki. Składała się z taty Marcina (ur. 4 kwietnia.1915 r.), mamy Stefanii (ur. 22 grudnia 1923 r.), dziadka Jana Bednarza (ur. 1898 r.) i sześciorga dzieci. Najstarsza była siostra mojej babci - Marysia ur. 2 grudnia 1941 r., brat Tadek (ur. 22 stycznia 1944 r.), moja babcia Janina - ur. 7 stycznia 1947 r., jej młodszy brat Marian - ur. 10 lutego 1949 r, potem Janek - ur. 15 września 1952r., a najmłodszy był Józek urodzony w listopadzie 1954 r. Prababcia zajmowała się dziećmi i domem, a prapradziadek Jan pracował w kołchozie prawie za darmo. Jesienią dostawał tylko trochę zboża. I tak przebiegało życie w zgodzie z porami roku i naturą, która niejednokrotnie dawała pożywienie i pozwalała przetrwać najtrudniejszy czas. Rodzice babci mieli krowę, kury, króliki i trochę ziemi, i dzięki temu wiązali jakoś koniec z końcem, marząc, że kiedyś przyjdzie ten długo wyczekiwany dzień wyjazdu do Polski.

Był rok 1957 i nadzieje na to, że kiedyś wrócą do kraju, powoli zanikały, marzenia pryskały jak bańska mydlana... Wielu sąsiadów mówiło do moich przodków z ironią, że "ten pociąg już dawno odjechał...". I kiedy powoli wszyscy zaczęli godzić się z tym, co przyniosło życie, nagle pojawiła się iskierka nadziei, bo pewnego dnia przyszło zaproszenie od wujka - Jana Błacha - brata mojego pradziadka, któremu cudem udało się wyjechać dwa lata wcześniej do Polski. Dzięki temu znów marzenie o nowym życiu w ukochanym kraju mogło się ziścić. W połowie września 1957 roku udało się całej rodzinie babci wyjechać z ZSRR. Sprzedali dom, krowę, drób, spakowali cały swój dobytek i w końcu repatriacja stała się również ich udziałem! Meble, naczynia i inne rzeczy spakowali do wielkich kufrów i zawieźli do wagonów na stację kolejową, aby w nowym miejscu nie zaczynać życia z pustymi rękami. Wszyscy pożegnali się z sąsiadami i znajomymi, i wyruszyli

w podróż w nieznane.

Na stację kolejową zawiózł ich sąsiad. Po przeprawie w Medyce pojechali do Przemyśla, do punktu repatriantów. Tam mieszkali wraz z całą rodziną w dużym pokoju, gdzie starsze dzieci miały swoje łóżka, a rodzice babci i dziadek spali z dziećmi młodszymi. Był to czas niepewności, ale też wielkich nadziei. Po tygodniu wyruszyli w dalszą podróż do Zgorzelca, do następnego punktu repatriacyjnego. Tam mieszkali w koszarach wojskowych przez miesiąc, a pradziadek w tym czasie szukał miejsca do życia, co wcale nie było takie proste, bo wszystko już było dawno zajęte przez wcześniejszych repatriantów. I tu znów los się do nich uśmiechnął. Rok wcześniej młoda dziewczyna z ich wioski o imieniu Stanisława wyjechała do swojego ojca. W czasie wojny była z nim rozdzielona, mama zmarła i wychowywało ją starsze, bardzo kochające małżeństwo. Rodzice mojej babci Janki cały czas mieli z nią kontakt, więc pradziadek pojechał do niej, aby rozejrzeć się za pracą i domem. Tam znalazł miejsce w Państwowym Gospodarstwie Rolnym.

Moja babcia i jej rodzeństwo w tym czasie przebywali w Zgorzelcu, gdzie mieli czas na przystosowanie się do życia w Polsce. Było im tam bardzo dobrze. Dawali im dobre jedzenie, bawili się z innymi dziećmi, bo wtedy bardzo dużo rodzin wyjechało do Polski. Mieli nawet rower, którym jeździli pod niemiecką granicę i z daleka obserwowali strażników niemieckich podczas pracy. Babcia opowiedziała mi, że oprócz tych wszystkich pysznych rzeczy, dawali im również ser żółty, którego nie znali w ZSRR. Nie wiedzieli co to jest, więc układali go wzdłuż drogi, jak wracali ze stołówki do pokoju. Dopiero później wytłumaczono im, że to się je, ale po degustacji okazało się, że ser wcale im nie smakuje i dalej dokarmiali nim ptaszki.

Na początku listopada, a może i pod koniec października 1957 roku, moi przodkowie wyjechali pociągiem do miejsca zamieszkania. Wszyscy jechali w jednym przedziale przez całą noc. Kiedy przyjechali do wsi Kłobuczyn, wyjechał po nich tata pani Stanisławy i zabrał ich do wsi Buczyna, wtedy znajdującej się w powiecie głogowskim. Pan Filip Karol ze swoją drugą żoną zaprosił ich do swego domu na obiad - przepyszny barszcz i ziemniaki, a na deser podano im smaczne ciasto. Ten smak moja babcia pamięta do dziś, bo było to danie, które często gościło na ich stole jeszcze w ZSRR. Po obiedzie nie mogli nacieszyć się sobą, a szczególnie Stanisławą, której dawno nie widzieli. Opowiedziała im, jak się żyje w Polsce i że jest to dla niej inny świat.

Od państwa Filipów do ich domu było około 100 metrów. Był to nowy dom bliźniak, w którym jeszcze nie było zamontowane światło. Mama mojej babci wtedy bardzo pożałowała, że nie zabrała z ZSRR lampy naftowej i worków fasoli, które zostawiła nowym nabywcom ich domu. Myślała, że lampa nie będzie już potrzebna. Wtedy nie wiedziała, jak bardzo się myliła... Dzieci musiały odrabiać lekcje przy świeczkach, co było bardzo uciążliwe. Fasola też bardzo by się przydała, bo przecież zaczęli życie w nowym miejscu praktycznie od zera. W ten sam dzień

przywiezione zostały ich meble i skrzynie z całym dobytkiem i dzięki pomocy sąsiadów, do wieczora zostały poustawiane w nowym domu. Babcia wspomina z uśmiechem, jak nowy sąsiad - Pan Basaraba wraz z żoną - przyniósł im duży kosz węgla i drzewa na rozpałkę. Wtedy wiedzieli już, że w tym miejscu będzie im dobrze, bo z tak życzliwymi ludźmi wokół nie mogło być inaczej.

Kiedy rodzina babci zaaklimatyzowała się w nowym miejscu, nadszedł czas na zapisanie dzieci do szkoły. I tak miały już przedłużone wakacje prawie o trzy miesiące. Rodzice babci zadbali w ZSRR o to, aby dzieci umiały pisać i czytać po polsku, bo przecież w ZSRR na co dzień posługiwali się tylko polską mową, natomiast w szkole uczyły się po ukraińsku. Tato babci zapisał każdemu dziecku literki ukraińskie, a pod spodem polskie i w ten sposób uczyli się polskiego alfabetu. Babcia musiała nauczyć się katechizmu po polsku, aby móc przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej jeszcze w ZSRR, a więc miała podwójną motywację do nauki i bardzo szybko nauczyła się alfabetu, a potem katechizmu. Dzień Pierwszej Komunii Świętej był jednym z najszczęśliwszych w jej życiu, a ksiądz, który jej udzielił, nazywał się Zygmunt Dziedziak i na babci zawsze największe wrażenie robił jego wzrost. Miał chyba ze dwa metry, bo kiedy babcia szła w procesji jako mała 9 – cio lub 10 – cio letnia dziewczynka, to i tak z daleka widziała głowę księdza, wystającą ponad głowy innych.

W Polsce babcia edukację rozpoczęła od 5 klasy. Miała wtedy 10 lat. Uczyła się bardzo dobrze, świetnie dawała sobie radę z ortografią polską, z którą inne dzieci miały problemy. Nauczyciele nie mogli się nadziwić, że ona, dopiero co przyjechawszy z ZSRR, potrafi tak pięknie i poprawnie pisać. I tu okazało się, że nauka kaligrafii w ukraińskiej szkole nie poszła w las. Jako małe dziecko była leworęczna, jednak w tamtych czasach dzieci na siłę uczono pisać prawą ręką i babcia musiała włożyć dużo wysiłku i pracy w to, aby ładnie pisać. Niejednokrotnie okupione to było wielogodzinną pracą i łzami. Od tej pory babcia pisze prawą ręką, ale wszystkie inne czynności wykonuje lewą. W następnym klasach okazało się, że babcia jest za młoda w stosunku do swoich rówieśników i mimo że nie miała żadnych problemów z nauką i na jej świadectwach zawsze były dobre oceny, musiała powtórzyć klasę 7, żeby móc pójść do szkoły średniej.

Kiedy już rodzina mojej babci zadomowiła się w Buczynie, mama mojej babci poszła do pracy, bliźniutko domu, na tym samym podwórku. Pracowała przy jałówkach - karmiła je i oporządzała. Tata babci z kolei pracował na polu i żyło im się naprawdę dobrze. Na wiosnę kupili kurczaki, kaczki, gąski. Blisko domu znajdował się mały staw, w którym babcia się kąpała, a jej bracia łowili ryby. Dziadek babci, Jan Bednarz, już wtedy nie pracował, bo zachorował na gruźlicę. Na wschodzie pracował w kamieniołomach i tam stracił zdrowie. Był dziadkiem najlepszym na świecie. Opowiadał im bajki, bawił się z nimi, układał do snu i doglądał w czasie choroby.

I w końcu nadeszły długo oczekiwane pierwsze święta - Święta Bożego Narodzenia. Dzieci,

czyli moja babcia i jej rodzeństwo, czekały na nie z utęsknieniem, bo przecież miały być to pierwsze święta w nowym miejscu. „Czy w Polsce też wypatruje się pierwszej gwiazdki?” - pytały dzieci swoją mamę, „czy też jest 12 potraw, czy nie można w ten dzień - dzień Wigilii jeść mięsa? Czy prezenty nosi Dziadek Mróz czy Mikołaj?” Te i wiele innych pytań kłębiły się w główkach dzieci, zanim mogły przekonać się, że Wigilia w domu chrześcijańskim prawie zawsze wygląda tak samo, czy to w ZSRR, w Polsce, czy to w innym kraju, gdzie kultywowane są tradycje bożonarodzeniowe. Okazało się, że potraw jest 12, a prezenty w tej części Polski przynosi Gwiazdor, a nie Dziadek Mróz. Moja prababcia przygotowywała „podbite” grzyby (z zasmażką i śmietaną), macę pieczoną, a potem rwaną na kawałki i mieszaną z makiem i cukrem (takie dzisiejsze kluski z makiem), zupę z suszonych owoców, kapustę z grzybami, karpia i wiele innych pyszności. Był to szczęśliwy czas dla rodziny. Ferwor przygotowań do świąt i szczebiotanie dzieci wypełniały po brzegi ten mały, nowy i wymarzony dom. A po Wigilii, kiedy już wszyscy śpiewali kolędy i radowali się z narodzin Jezusa, nagle usłyszeli pukanie do wszystkich okien. Zerwali się na równe nogi, bo nie wiedzieli, co się dzieje. Szybko wybiegli na podwórko. Okazało się, że to kierownik pegeeru - Pan Mieczysław Greliński - zbierał wszystkich na Pasterkę. Przyjechał wozem i zapraszał sąsiadów do wspólnej wyprawy. To był bardzo dobry, prawy i życzliwy człowiek, dzięki któremu rzeczywistość stawała się jeszcze piękniejsza.

Pierwsze lata życia w Polsce już od samego początku były radosne i szczęśliwe. Mama mojej babci zawsze była bardzo zaradna i zapobiegliwa, dlatego nigdy jej rodzinie niczego nie brakowało. Już od pierwszych dni pobytu w Polsce prababcia robiła ogromne zapasy na zimę, bo tak była nauczona w ZSRR. Nic nie mogło się zmarnować, a więc kiszyła całe beczki kapusty, suszyła owoce, robiła kompoty, marynaty i inne przetwory. Okazywało się zawsze, że jest tego tyle, że wystarczało na obdarowywanie sąsiadów do późnej wiosny. Sąsiedzi też z kolei dzielili się tym, co mieli. Choć wszyscy przybyli z różnych stron, to żyli jak rodzina. Wszyscy byli życzliwi i bardzo serdeczni, a dzieci sąsiadów traktowali jak swoje. Kiedy babcia bawiła się z dziećmi sąsiadów, nawet dzieci - niejadki zjadały wszystko, co im postawiono na stole. Ta sama zupa była sto razy lepsza w domu kolegi niż własnym.

I mimo że życie, które w pegeerze wiedli moi pradziadkowie było bardzo dobre, mama mojej babci cały czas marzyła o tym, żeby pójść „na swoje”. Nie mogła przeżyć, że jej dzieci będą dorastać w pegeerze, bo takie miejsca bardzo źle jej się kojarzyły. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, pradziadkowie kupili gospodarstwo rolne zaraz po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko pegeeru, od sąsiada, który wyjeżdżał.

W 1961 roku, kiedy babcia miała 14 lat, w Boże Narodzenie mieszkali już „na swoim”. Prababcia była szczęśliwa, że już nikt nie nazwie jej dzieci „pegeerusami”, bo niestety często tak

były właśnie przezywane przez innych ludzi. W Polsce mojej babci urodził się jeszcze brat Andrzejek wiosną 1959 roku, który zmarł, kiedy miał miesiąc. Potem urodziła się siostra Stanisława - w maju 1960r. i najmłodszy brat 6 listopada 1964 r., któremu prababcia chciała dać na imię Wojtek, ale moja babcia zaprotestowała i powiedziała, że jak nie będzie miał na imię Irek, to nawet na niego nie spojrzysz i nie będziesz się nim zajmować. Babci bardzo się podobało imię Ireneusz, bo tak miał na imię jej ulubiony nauczyciel i jej prośba co do imienia w końcu została spełniona. Od tej pory moja babcia była dla niego drugą mamą i do dzisiejszego dnia jest jej najukochańszym bratem.

Babcia, choć po przyjeździe do kraju była szczęśliwa, mówi, że przyjechawszy do Polski, również bardzo się zawiodła. Ujrzała tu takie same domy, drzewa... Jej się wydawało, że kiedy przekroczą granicę, zobaczy zupełnie inną przyrodę, więc pod tym względem, można powiedzieć, była bardzo rozczarowana... Wtedy obiecała sobie, że jak będzie dorosła, to pojedzie do innego kraju, gdzie będą inne drzewa, zwierzęta, inne domy i po prostu inny świat. To dziecięce marzenie spełniła, ale dopiero w 1993 roku, kiedy pojechała na pielgrzymkę do Włoch i Francji.

Moja babcia wyszła za mąż za mojego dziadka Aleksandra Kałużkę (ur. 7 lutego 1947 r.) 13 kwietnia 1968 roku. Mieszkał on we wsi Radwanice, 4 km od Buczyny, i poznał babcię w swoje 18-te urodziny. Od tej pory są nierozłączni. Dziadkowie mają dwie córki, troje wnucząt i na razie jednego prawnuczka. Są najlepszymi i najwspanialszymi dziadkami na świecie!

Babcia w swoim życiu wykonywała wiele zawodów, dzięki swej niezłomności potrafiła dopasować się do każdego czasu. Zajmowała się chałupnictwem (szyła ubrania na maszynie dziewiarskiej dla MILANY Głogów), kiedy jej dzieci były małe. Potem pracowała jako brygadysta w Lubuskich Zakładach Roszarniczych "Gorzów", a kiedy rozwiązano zakład i została osobą bezrobotną, przekwalifikowała się i spełniła swoje kolejne marzenie z dzieciństwa o byciu nauczycielem. Ukończyła Collegium Katechetyczne w Zielonej Górze i do emerytury pracowała jako katechetka w Szkole Podstawowej im. Marii Konopnickiej w Buczynie oraz w Szkole Podstawowej im. Mariana Falskiego w Radwanicach.

Moja ukochana babcia przeżyła w swoim życiu bardzo wiele. Wie co to znaczy głód, oddawanie swojej porcji jedzenia młodszemu rodzeństwu, odrabianie lekcji przy świecach, mieszkanie nie w swoim kraju, na klepisku, w jednej izbie z innymi, bo takie właśnie warunki miała jako mała dziewczynka, kiedy mieszkała jeszcze w ZSRR. Jednak ogromna miłość jej dziadka i rodziców rekompensowały trudy codziennego życia i sprawiły, że mimo wszystko jej dzieciństwo było bardzo szczęśliwe. Pamięta praktycznie wszystko, co zobaczyła w swoim życiu i czego doświadczyła. Dziś nadszedł czas, aby uchylić rąbka tajemnicy swoim wnukom... Dzieciństwo babci ukazuje prawdziwe oblicze historii. Pokazuje nam, że mimo wielu trudności można być

sprytniejszym od losu i odwrócić jego bieg, jeśli ma się w sobie siłę, wiarę i determinację. Moja babcia jest dla mnie wzorem, potrafi kochać wszystkich całym sercem, poświęcić swoje dobro dla dobra innych, dzielić się wszystkim ze wszystkimi, a swoją pracowitością i niezłomnością pokazuje nam każdego dnia, że praca dla innych i poświęcenie czasu drugiemu człowiekowi są najważniejszymi wartościami w jej życiu.

Ta jej opowieść, którą spisałam, już na zawsze pozostanie ze mną, bo nauczyła mnie, że trzeba umieć docenić to, co się ma, a przeciwności losu są po to, żeby stawiać im czoło! Kształtują nasz charakter, uczą odróżniać dobro od zła, a przede wszystkim pokazują, że największą wartością jest miłość do drugiego człowieka. A pociąg, który już odjechał...? No cóż, dla tych, co mieli ogromną wiarę - dla moich przodków - przyjechał inny pociąg, który zawiózł ich do ukochanej Polski, do tego kraju, o którym marzyli, śnili, i do którego tęsknili każdego dnia.

Kochana Babciu, DZIĘKUJĘ!